



Kordian Tarasiewicz

część II z III

Sygnatura notacji: **N0088**
Data urodzenia: **1910 r.**
Data nagrania: **2007 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Krzysztof Wyrzykowski**
Czas nagrania: **część I: 55 min, część II: 52 min, część III: 48 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Kordian Tarasiewicz: ...jeszcze wspomnieć o rzeczy, która charakteryzowała działalność firmy Pluton od początku jej właściwie powstania. Ten pierwszy jubileusz to właśnie był 1907 rok, dwudziestopięciolecie, i wtedy już było to podkreślone, że na przykład z racji tej uroczystości było ogłoszenie w gazetach, że cały utarg ze sklepów będzie na cele dobroczynne tego dnia przyznany. To jeszcze wtedy żył właśnie dziadek, który miał takie predyspozycje charytatywne, jak w Krakowie właśnie miał ten pierwszy interes, to taki dyplom też dostał Towarzystwa Dobroczynności z podziękowaniem za wsparcie. A tutaj, w Warszawie, jak już miał to, w 1910 roku, na ulicy Śniadeckich taki był dom dla starszych robotników powołany, i kościół tam brał udział, księża, biskupi i tak dalej, no i oni zbierali na budowę tego ośrodka. To się nazywało wtedy ulica Kaliksta. No i taka broszurka później powstała pamiątkowa, którą mam, i tam, w tej broszurce na końcu jest spis ofiarodawców. Bo społeczne pieniądze były potrzebne. No i tam dziadek 500 rubli dał. To była duża suma. A tam inni... Był tam jakiś hrabia Krasieński, dał 3 tysiące rubli... W każdym razie miało to poczucie pomagania w ogóle. Natomiast jeśli chodzi o samą firmę, no to w 1914 roku, jak już wspominałem, powstała jako spółka akcyjna i wszyscy pracownicy, którzy do tej daty 1914 roku pracowali, dostali akcje. No i to w takiej książce o prawie jest przytoczone, powołuje się na to źródło, że to był pierwszy wypadek na ziemiach polskich dania tych akcji. Oczywiście to był taki akt symboliczny, bo jeżeli ktoś dostał jedną akcję czy dwie, to w stosunku do kapitału to była... Ale to nie o to chodziło. Nie o majątek, tylko poczucie, że ten pracownik jest związany i interesuje się losami firmy, i tak dalej. Tak że to później zdawało egzamin, że w czasie okupacji trzydziestolecie obchodziliśmy spółki akcyjnej. Czyli w 1944 roku. No to się zebrała gromada ludzi, którzy albo mieli trzydzieści pięć lat pracy, albo dwadzieścia pięć lat pracy, albo piętnaście, jest wspólna fotografia. Natomiast takim właśnie zwyczajem w czasach pokojowych, póki wojna nie wybuchła, to było to właśnie, że na 10-lecie taki srebrny zegarek ktoś do-

stawał, a na dwudziestopięciolecie złoty. Więc to były takie stałe pozycje. Poza tym w bilansach rocznych, też mam zachowane te druki, co roku się drukowało sprawozdanie, to jeżeli akcjonariusze dostawali, powiedzmy, 150 tysięcy dywidendy, to prawie drugie tyle były gratyfikacje dla pracowników. Tak że oni zarabiali bardzo dużo w Plutonie, bardzo dużo. Natomiast więcej o tym mogę powiedzieć już, jak będziemy mówili o okupacyjnym okresie, gdzie to już zupełnie inna była sytuacja w ogóle, w Warszawie, w Polsce, ale to może już na tym bym skończył, jeśli chodzi o...

Krzysztof Wyrzykowski: O działalność Plutona w okresie międzywojennym.

Kordian Tarasiewicz: Tak.

Krzysztof Wyrzykowski: A w takim razie przejdźmy do okresu...

Kordian Tarasiewicz: Wojny.

Krzysztof Wyrzykowski: Wybuchu wojny, II wojny światowej.

Kordian Tarasiewicz: Trzeba powiedzieć, że mimo tych gróźb niemieckich i tych różnych wiadomości, które się czytało, słuchało przez radio, każdy odrzucał, że nie będzie tej wojny. Tak że raczej był nastrój w społeczeństwie w lipcu, w sierpniu, czyli przededniu, raczej pogodny. Ja na przykład w lipcu... z żoną pojechalśmy do takiego sanatorium blisko Kołomyi i doktora Tarnowskiego, Głównie tam się leczyli ludzie na nadmierną wagę, ale poza tym chodziło o pewną dietę. Nie jadło się mięsa, tylko w niedzielę kurczaka dawali, a tak cały tydzień były jarzyny, bardzo dobra kuchnia. No i tam było bardzo dużo ludzi takich nawet z rządu, z bankowości, między innymi taki wicemarszałek sejmu, pan Polakiewicz, w siatkówkę ześmy grali i tak dalej, to mówię to, że dowodziło takiej wiary, że nic się nie wydarzy niedługo. No i przestrozę taką usłyszałem dopiero w sierpniu. Mianowicie myśmy wpadli w Plutonie na taki pomysł, z uwagi na te trudności importu kawy, dowiedzieliśmy się, że jest trzech plantatorów kawy w Angoli, w kolonii Angoli portugalskiej. Między innymi tam Zamoyski był jeden i pan Dekański. I z rodziną tego Dekańskiego ześmy się porozumieli, i powstała koncepcja, że pan Dekański gotów był sprzedać Plutonowi kawę bez dolarów, tylko za złotówki tutaj wpłacone jego rodzinie. No ale jak to urzędy działają, musieliśmy złożyć podanie do komisji dewizowej, żeby nam zezwolili sprowadzić tę kawę bez dewiz, ale za jakąś zgodą. No i oczywiście to trwało tygodnie. i dosłownie tę zgodę dostaliśmy koło 10 sierpnia. Ale Dekański powiedział, że on tylko tę kawę dostarczy do portu, a koszty ubezpieczenia tego transportu i koszty przewozu statkiem to już my musimy zapłacić. No więc poszedłem do takiej z światowej sławy firmy ubezpieczalnej, Lloyd, której dyrektorem był Anglik, który urodził się z Polką, że nawet po polsku można było z nim rozmawiać. No i przychodzę do niego, i wyluszczam mu tę całą sprawę. A on tak patrzy na mnie: „Proszę pana, czy pan wie co się dzieje?”. Ja mówię: „no co się dzieje?”, „No proszę pana, przecież to wojna będzie tu”. A to było po wizycie takiego szefa sztabu angielskiego w Polsce, który w pierwszych dniach sierpnia tu przyjechał, do Warszawy, i właściwie na niczym, bo jak zobaczył, że my nie mamy samolotów, nie mamy czołgów, to wyjechał. Podobno tam mówił, że jak będzie wojna, to oni przyślą krążownik jakiś na Bałtyk, bez sensu jakaś... Ale ten Anglik już o tym wiedział. I mówi: „Proszę pana, nie macie samolotów, nie macie czołgów, nie macie artylerii przeciwlotniczej. Bardzo to wszystko źle wygląda, bardzo panu odradzam, niech pan”... No i ja zrezygnowałem z tego. Więc to taki

był przedsmak, co się dwa tygodnie później... już pierwsze bomby spadły na Warszawę. No i rzeczywiście to, poza tym, że wojna zawsze jest przerażająca i okrutna, i tak dalej, stanowiło dla firmy śmiertelny cios, dlatego że wiadomo było, że kawa już pod okupacją niemiecką się nie da handlować. Ale do tego jeszcze wrócę. Natomiast moja przygoda wrześniowa była o tyle ciekawa, że ja do wojska nie należałem, jak to się mówi, miałem kategorię D, kiedyś w płucach jakieś tam były... No i ciągle mówiłem do znajomych, jak już wojna wybuchła, że chcę się jakoś włączyć w to. No i proszę sobie wyobrazić, że jak miałem takiego przyjaciela, który miał masę znajomości w Warszawie, ja mówię: „Słuchaj, ja mam samochód, chcę pomóc tym wojskowym”. I on mnie skomunikował z tym Polakiewiczem, o którym wspominałem w tym u Tarnowskiego. No i ten major Polakiewicz, okazuje się, był w szefostwie propagandy, przy naczelnym dowództwie, tam, gdzie Umiastowski wezwał wszystkich, żeby wyjść z Warszawy. No ja się zgłosiłem do tego majora, przypomniałem sobie tę siatkówkę, w którą żeśmy grali, on mówi, no to bardzo panu dziękuję, to już proszę w takim razie do domu, nie... tego, tylko cały dzień do wieczora będzie pan ze mną jeździł po Warszawie. Między innymi z nim się udałem do Polskiego Radia, na ulicę Zielną, wieczorem, i byłem świadkiem, że akurat w radiu był Starzyński w mundurze i Umiastowski przemawiał przez radio. Zresztą trzeba powiedzieć, że miał świetną taką... gadanę, jak to się mówi. Mówił z przejściem i tematem jego właśnie, że to Westerplatte się jeszcze broni i musimy zwyciężyć, bo pod Grunwaldem też mieliśmy pancernych przeciwników, a jednak Polska i Litwa wygrały. No i potem przyszedł 9 września, gdzie pan Polakiewicz mówi: Proszę pana, to pan ze mną teraz pojedzie, się przenosimy do Brześcia. Całe dowództwo, Rydz-Śmigły i... I pojechaliśmy. I jak pojechaliśmy, to już ja utknąłem. Najpierw byliśmy trzy dni w Brześciu, potem we Włodzimierzu Wołyńskim, potem w Młynowie i potem, proszę sobie wyobrazić, do tej Kołomyi, do tego Tarnowskiego, tam była kwatera.

Krzysztof Wyrzykowski: Proszę powiedzieć po pierwsze, jakim samochodem pan jechał, a po drugie, jakie warunki panowały na drogach?

Kordian Tarasiewicz: Proszę pana, ja samochód miałem bardzo elegancki, bo kupiłem od takiego dyplomaty, używany, ale byk, dwuosobowy i z tyłu kłapa też na dwie osoby, tak otwierało się. Proszę pana, wszyscyśmy mieli nadzieję, że za Wisłą jest jakiś drugi front. Nic nie było. Zamęt, bałagan, szosa zaśmiecona, bo ludzie nosili jakieś walizki, później rzucali te walizki, bo ci ciężko było, tłumy, wszyscy uciekali po tym Umiastowskiego apelu, nawet sanitariusze z jakiegoś szpitala z noszami, straż ogniowa, wszystko to uciekało. Tak że to był bardzo smutny obraz, widać było tę klęskę już tak na całego. No i 17 września przychodzi wiadomość, że Rosjanie wkroczyli do Polski. Więc ja wtedy do pana Polakiewicza mówię: „Panie majorze, pan pewnie zaraz do Rumunii przekroczy, a niech pan mi pozwoli, że ja swoim samochodem wrócę, będę starał wrócić do Warszawy”. No i tak się stało, że pożegnaliśmy się. On dał mi jakieś dowody, które potem trzeba było niszczyć, bo się trochę bał, żeby Niemcy nie złapali, jakieś dokumenty, że w naczelnym dowództwie... No i następuje bardzo ciekawy taki okres, żeśmy wieczorem tego dnia, kiedy Rosjanie weszli, opuścili ten tę Kołomyję i dotarliśmy do Stanisławowa. Ale tam już, wie pan, Ukraińcy zaczęli takie oznaki wrogości, tak że właśnie nie chcieliśmy już jechać do Lwowa, tylko przenocowaliśmy w Stanisławowie i na drugi dzień ruszyliśmy do Lwowa, i proszę sobie wyobrazić, że w połowie drogi mniej więcej między Stanisławem a Lwowem raptem patrzymy, cała brygada pancerna polska Maczka, pułkownika Maczka, jeszcze wtedy był pułkownik. I okazuje się, że mój towarzysz był znajomy pułkownika tam innego, znam jego nazwisko. On mówi: „Skąd wy jedziecie?”, do nas się pytają. Przecież wszyscy jadą w odwrotnym kierunku, do granicy rumuńskiej. No i wtedy myśmy

uświadomili dopiero, oni nie wiedzieli, że już Rydz-Śmigły przekroczył granicę i tak dalej. No więc pożegnaliśmy się, oni później następnego dnia przekroczyli granicę węgierską i oddali. No i ja dojeżdżam do Lwowa, oblężony przez Niemców. I tak od Winnik, Winniki, taka miejscowość, pusto, cisza, jakiś taki samochód zajżdża, wojskowy. „Co pan tutaj robi?” Ja mówię, no staram się do Lwowa i którędy przejechać, żeby się nie natknąć na Niemców? A mówi: „My też mamy do Lwowa. Ale skąd panowie jadą?”. Ja mówię, z granicy rumuńskiej, ale Rydz-Śmigły... „No to wie pan, to ja zamelduję dowódcy Lwowa, że taka wiadomość o Rydzu-Śmigłym. No i dostaliśmy się w rezultacie do Lwowa i tam parę dni oczekiwaliśmy, aż wejdą Rosjanie. I byłem świadkiem tego, jak ukazały się plakaty, że wszyscy oficerowie polscy na terenie Lwowa muszą się zgłosić na plac Bernardyński. A ten wojskowy, który się pytał, jak się tutaj do Lwowa, to we Lwowie go spotykałem. I w pewnym momencie, idąc na ten Plac Bernardyński, bo miałem znajomego, innego oficera, patrzę, że on pędzi z walizką, ten oficer. Ja mówię, gdzie pan, przecież pan powinien być na placu Bernardyńskim. „Nie, ja nie pójdę”. No i on się uratował, a tamci wszyscy... Dwóch oficerów popełniło samobójstwo.

Krzysztof Wyrzykowski: A co się stało z pozostałymi?

Kordian Tarasiewicz: Straszne przeżycie, wie pan, tu Rosjanie... No więc w tym Lwowie żeśmy zobaczyli, jak...

Krzysztof Wyrzykowski: Jeszcze chciałem prosić, żeby pan opisał wkroczenie Armii Czerwonej. Jakie to wrażenie robiło?

Kordian Tarasiewicz: No więc właśnie. W pewnym momencie właśnie dowiedzieliśmy się, że jest ta kapitulacja wobec Rosjan, ci oficerowie to jest [niezrozumiałe, 00:16:44] ja wtedy, po tym właśnie zobaczeniu, że tych oficerów biednych tam zgromadzono, wróciłem do centrum, Hotel George, taki był słynny we Lwowie, i w tym momencie zaczęły czołgi wjeżdżać rosyjskie. No i od razu się gromadka Żydów pokazała, i z pięściami witali, komuniści. Od razu, ze 100–200 osób. Tak że to był strasznie przykry widok. I w ogóle, jak ja sobie dzisiaj przypominam, że raptem człowiek się znalazł... Tu okupacja niemiecka jest, pół kraju zajęte, tutaj Rosja, to straszne. Co się stało, co to będzie? No i teraz, jak się wydostać z tego Lwowa? Oni od razu kazali zarejestrować samochód, dali taką karteczkę, później ja z milicji takiej obywatelskiej, też przez znajomości lwowskie, dali mi takie zaświadczenie, że udaję się do Warszawy, bo tam mieszkam po prostu, ale jak się pytało tych Rosjan, to oni mówią: „O, granica zamknięta na klucz. A klucz ma towarzysz Stalin”. Także wyjechać oficjalnie nie... I w pewnym momencie postanowiliśmy, Jeszcze wziąłem tam dwie osoby do samochodu, pojechać z tymi papierkami, zameldowanie samochodu, co uratowało nas. No i potem żeśmy przejechaliśmy przez Rawę Ruską, później Żółkiew minęliśmy, gdzieś tam widziałem, że tam woła „Krasnaja Armija” i żeby się zatrzymać, no i jedziemy tam w stronę... Aha, bo ja przeczytałem w gazecie, że jest nowe porozumienie z Niemcami, że Rosjanie się cofną. Bo niby pod Lublinem oni byli, Lublin i Zamość były rosyjskie. Dopiero potem zrobili, że na Bug. Ja mówię, to musimy dojechać jak najszybciej do Zamościa, żeby się dostać pod władzę niemiecką. No i w pewnym momencie widzę, że strzelać chce do nas, więc zatrzymaliśmy ten samochód no i pokazałem temu mołojcowi tę karteczkę z gwiazdą i to zaświadczenie, że... I to on to uszanował. Mało tego, powiedziałem, niech on na tym napisze, że już badał moje dokumenty. No i przyjechaliśmy do Zamościa, tam Rosjanie w pełnym rozpędzie urzędują, i Żydzi uciekają. bardzo dużo Żydów zaczęło uciekać, odczuli, że Niemcy przyjdą. No i potem był taki okres, że dwa dni nie było ani Rosjan, ani Niemców. Do kościoła się chodziło, żeśmy śpiewali „Boże, coś Polskę”.

A Kleeberg jeszcze się bił z tą armią niedaleko tego. No i w pewnym momencie widzimy, że zajeżdża luksusowy samochód niemiecki pełen oficerów, przed ten ratusz wspaniały, renesansowy, objęli władzę i powiedziałem, no słuchajcie, to teraz do Warszawy. No i dojechaliśmy do Warszawy. Dosłownie trzydzieści dni to wszystko trwało.

Krzysztof Wyrzykowski: Czy bycie pod okupacją niemiecką wydawało się panu bardziej bezpieczne niż pod okupacją sowiecką? Czy była jakaś różnica?

Kordian Tarasiewicz: Jednak tak. To jest inny świat.

Krzysztof Wyrzykowski: Kultura inna?

Kordian Tarasiewicz: Tak. Inny świat. Oczywiście, że u Rosjan nie było programu eksterminacji, ale wywożenie w zimie wagonami gdzieś, to była eksterminacja. Warunki były takie, że ludzie ginęli jak muchy, zanim się dostali do tych obozów. No i zaczęła się już w Warszawie... Jak wróciliśmy, to po miesiącu przyszło zarządzenie niemieckie, że wszystkie zapasy kawy i herbaty muszą być zgłoszone, podane ilości, nie wolno wydawać, tylko na specjalne tamte. Tak że od razu byliśmy pozbawieni wszystkich zapasów towarowych, konta bankowe wszystkie już nieaktualne, żadnych pieniędzy, a przecież sporo było w banku, stu ludzi na utrzymaniu w firmie było no i trzeba było zacząć myśleć, co innego robić. No i tu przyszły różne takie pomysły, żeby kawę zbożową zacząć produkować na dużą skalę, żeby się zaangażować w taką produkcję marmolady i przetworów owocowych tutaj w Płudach pod Warszawą, sprzedaż sacharyny, sprzedaż wina nawet w pewnym momencie, był taki krótki okres, że jakoś Niemcy mieli to wino i dawali taką koncesję, żeby to sprzedawać. No i wtedy powstało właśnie zagadnienie, które pana zainteresowało już pod koniec poprzedniego tego odcinka, że trzeba było bardzo pomagać wszystkim ludziom, którzy się znaleźli w strasznie trudnych warunkach. Bo pensje były zamrożone, ceny poszły w górę, przydziały kartkowe były minimalne, był olbrzymi odcinek, żeby wszyscy pracownicy dostawali jakieś wsparcie. No i tu były różne sposoby. Myśmy mieli hurtownie kartkowych artykułów, nieduże, ale mieliśmy pod sobą kilkanaście sklepów, każdy sklep mniej więcej tysiąc ludzi zaopatrywał w kartki. Więc były przepisy takie ze strony miasta, że jak pan dostawał tonę cukru, to było 1% na manko dawane. Więc teraz, jeżeli się dobrze gospodarowało w magazynach, to można było nie zmarnować ten 1%, tylko ściągnąć. I wtedy robiliśmy deputaty, mąka, cukier, jakieś kasze, to, co było z tych przydziałów. Tak że pracownicy mieli pod tym względem właśnie możliwość podreperowania budżetów no i jednocześnie czasem się nawet sprzedawało te nadwyżki i dawało się pieniądze po prostu. No i tutaj pomysłowość była bardzo duża, żeby na przykład opieką lekarską, zaangażowanych dwóch lekarzy było, były darmowe lekarstwa, kupowane na lewo, i konsultacje lekarskie. Później, przyjmowaliśmy na listę pracowników ludzi, którzy byli bez przydziału. Między innymi taki był dyrektor biblioteki sejmowej, pan Kołodziejski, później był członkiem Rady Państwa, za czasów PRL-u. To byli na naszej liście. Byli różni profesorowie z Poznania wysiedleni. Wysyłałiśmy... dwudziestu oficerów w oflagach dostawało nasze... Oni mieli prawo co dwa miesiące dostawać paczki, więc myśmy te paczki... Cukier i tak dalej. Tak że była na szeroką skalę taka charytatywna akcja prowadzona. A najbardziej spektakularny był właśnie 1943 rok w styczniu, gdzie dowiedzieliśmy się, zupełnie przypadkowo, ale słuchy na ten temat przed tym chodziły, że Niemcy wywożą dzieci z Zamojszczyzny. No i w pewnym momencie bardzo silnych mrozów ktoś zatelefonował do firmy, że na Dworcu Wschodnim są te wagony. I wtedy dałem polecenie, żeby samochód pojechał z pracownikami i te dzie-

ciaki... I myśmy później sfinansowali razem z innymi firmami zaprzyjaźnionymi dwa schroniska tych dzieci z Zamojszczyzny. Chłopców osobno, na ulicy Okopowej, a na ulicy Ikara, czyli na Mokotowie, dziewczynki. Mam zdjęcie, trzydzieścioro dziewczynek, między innymi trzy Żydóweczki były ukrywane. Taką opiekunką była taka pani Majer, działaczka harcerska i ZWZ. No i prowadziliśmy, tak że... Później było wzruszające to, że jak się dowiedzieli ludzie, że ja coś wiem o tych dzieciach, to co parę minut dzwonił telefon. „Proszę pana, gdzie”... Ja mówię, nic nie wiem, tylko Dworzec Wschodni, niech pan jedzie samochodem i zabiera te dzieci, bo zginą, zmarnują się. Tak że przyjemnie się te czasy wspomina, że była taka solidarność społeczeństwa.

Krzysztof Wyrzykowski: Proszę pana, pana firma mogła dać tak zwane pewne papiery ludziom, którzy...

Kordian Tarasiewicz: No tak.

Krzysztof Wyrzykowski: Chroniło to przed wyjazdem, prawda?

Kordian Tarasiewicz: Zatrudnili ich. I dlatego ze dwadzieścia osób miało fikcyjne takie zatrudnienie. Ausweiss.

Krzysztof Wyrzykowski: Wiem, że w pana firmie również odbywały się takie koncerty literackie, spotkania, które miały stworzyć możliwość inteligencji do spotkania się.

Kordian Tarasiewicz: Tak. No więc właśnie. Myśmy się bardzo zaprzyjaźnili tuż przed wojną z takim pisarzem, Brezą Tadeuszem, i jego żoną, i on był bardzo aktywny w czasie okupacji, organizując nawet w prywatnych mieszkaniach takie spotkania z pisarzami polskimi czy innymi ciekawymi ludźmi, z księżmi. Kiedyś nawet był dyrektor z zoologicznego ogrodu warszawskiego na takiej pogawędce, bo to był taki znany biolog przypadkowym dyrektorem. Tak że te spotkania właśnie bardzo na duchu podtrzymywały ludzi. I często nawet takie pytania, „jak wyście mogli się tam bawić czy wódeczkę popijać, jak były takie straszne rzeczy”. No nie było rady. W jednej kamienicy na jednym piętrze było morderstwo przez gestapo, a na innym piętrze był akurat ślub, wesele. Życie nie pozwalało na to, żeby...

Krzysztof Wyrzykowski: A jak wyglądała sprawa kontaktów pana z władzami okupacyjnymi?

Kordian Tarasiewicz: Myśmy mieli takiego zaprzyjaźnionego gdańszczanina, pan Kiesewetter się nazywał, gdzie na początku okupacji poprosiliśmy go, czy on by nie miał kandydata Polaka, który dobrze zna niemiecki, który mógłby być tym łącznikiem między władzami. No i pan Vogel, Walery Vogel, ten gdańszczanin, miał filię w Bydgoszczy, i ten pan był z Bydgoszczy. Uroczy pan, zresztą podobny do Żyda trochę, ale tak spokojny, że on z Niemcami miał jakieś takie wejście. No i on uratował masę rzeczy dla nas. Na przykład dwóch naszych pracowników zwolniono z Oflagu pod warunkiem, że będą się meldować w komendzie, ale w pewnym momencie odwołali to, że wszyscy, którzy brali udział w kampanii wrześniowej muszą się zgłosić na dworzec i będą do Oflagu wysłać. Tośmy uratowali przez tego Vogla. To, żeśmy mogli trochę kawy tam podkradać, za tę kawę pan każdego Niemca kupił. Paczka kawy, oni tak byli wygłodniali, bo Hitler jednak tam śruby przykręcał, żeby te zbrojenia zrobić, to oni robili oszczędności na różnych takich importach kawy czy coś. Tak że kawa tam była jedyna. I ten Vogel do końca wojny nam pomagał. Duże miał

sukcesy, że właśnie z tymi urzędnikami rozmawiał i oni nam podpisywali różne... właśnie tę sacharynę czy coś. Trzeba było złożyć podanie i przekonać, że nadajemy się do tego, żeby sprzedawać tę sacharynę czy wino, czy coś takiego.

Krzysztof Wyrzykowski: A co się działo z pana sklepami w innych miastach?

Kordian Tarasiewicz: To różnie bywało. We Lwowie byli Rosjanie, to tam różne instytucje, potem, jak Niemcy zajęli Lwów w 1941 roku, to się zmieniło, w Łodzi Niemcy to zabrali, w Lublinie ocalał sklep, bo to był GG, w Poznaniu... Najzabawniejsze było w Poznaniu. Ta pani była odcięta i zrobiła tak, że najcenniejsze rzeczy z tego sklepu gdzieś schowała do piwnicy, a tam handlowała jakimiś cukierkami. I w 1940 roku zjawia się do niej jakiś Niemiec, że ma przydział tego sklepu. To był Niemiec, który prowadził palarnię kawy w Rydze, na Łotwie. Jak Rosjanie włączyli państwa bałtyckie do siebie, to Niemcy zaczęli stamtąd uciekać. I on znalazł się w Poznaniu, i władzom: „Pan ma palarnię. To panu damy ten sklep”. I on przyszedł do tego sklepu, pyta się, co to było, a ona mówi: „sklep z kawą”. „No dobrze, ale gdzie pani ma wagę, młynek, kasę?”. „A, wie pan, ja wysłałam do Warszawy”. I proszę sobie wyobrazić, że ona to przetrzymała do końca wojny i jak się skończyła wojna, to oddała nam. Tacy byli ludzie.

Krzysztof Wyrzykowski: Lojalność pracownika.

Kordian Tarasiewicz: Tak, lojalność, właśnie tak.

Krzysztof Wyrzykowski: A pan, jak słyszałem, wysyłał paczki do obozów koncentracyjnych swoim pracownikom.

Kordian Tarasiewicz: Nie, myśmy wysyłali paczki do Oflagów, natomiast jeśli chodzi o pracowników, to udało nam się właśnie, że kiedyś do firmy przyszedł z Arbeitsamtu urzędnik i zrobił selekcję, i spisał wszystkich młodych ludzi. A myśmy zatrudniali bardzo dużo praktykantów. No i bardzo to źle wyglądało, że oni mogli być skierowani do pracy przymusowej w Niemczech. I myśmy na Grzybowskiej mieli taki pokój, gdzie się przyjmowało czasem gości, szczególnie Niemców, bardzo dobry taki obiad jest, oni byli wygłodniali, czy to jakaś dobra szynka, wie pan, to... I nie tylko nikogo nie skierował, ale poprosiliśmy go, żeby on wyciągnął nam pracownika, który dostał się do niewoli, ale nie był oficerem, tylko szeregowiec i był na jakimś gospodarstwie niemieckim po prostu przydzielony. I proszę sobie wyobrazić, że ten pracownik wrócił. Do żony, do dzieci... Tak że to był taki... Rekordowa sprawa. Już jak jest w ich rękach, to wyrwać ich było bardzo trudno.

Krzysztof Wyrzykowski: A wybuch powstania jak pan zapamiętał?

Kordian Tarasiewicz: Niedługo już. Powstanie... Ja byłem uprzedzony, w południe tego dnia taki miałem kontakt z takim panem, pokładałem dużo zaufania w jego informacji, a zatelefonował, że o piątej będzie... No i wtedy w biurze powiedziałem, że niech się wszyscy już zwolnią, pieniądze do kasy takiej pancерnej, a sam wsiałem na rower i do domu, żeby zdążyć. Ja mieszkałem na Kolonii Staszica, w domu była żona, dzieci były pod Warszawą, na takich wakacjach, no i jeszcze jej ojciec, właśnie komandor. No i po krótkiej tam rozmowie starałem się z powrotem do firmy, żeby być w firmie, jak będzie... Duże zapasy mieliśmy żywności. No i już nie mogłem się dostać, bo od razu była

strzelanina, tak że na trzeci dzień dotarłem tam do firmy no i okazało się, od razu taka zagryweczka biurokratyczna, że 3 sierpnia przyszli oficerowie z komendy głównej zająć wszystkie zapasy żywności, jakie były. Cukier, mąka... No więc podporządkowaliśmy się, zaczęli przychodzić po paru dniach. I po 10 dniach przyszedł znowu inny oficer, że jest z komendy okręgu warszawskiego, i też zajął. I ja sobie pomyślałem od razu, że będzie z tego klops, no bo ten bierze... No i rzeczywiście była męczarnia, bo jak komenda główna coś zamówiła, że „proszę przygotować dziesięć worków cukru”, a następnego dnia przyjdą robotnicy i wyniosą to. My przygotowujemy, a zabrał ten z okręgu. Idziemy do niego, on mówi: „Proszę pana, ale wyście mieli mi”... Ja mówię, to nie nasza wina, zabrała główna komenda. On był niesłychanie ordynarny, major pod pseudonimem „Kiliński”, i po kilku razach takich nieporozumień powiedział: „Proszę oddać legitymację, opaski, albo panowie dla mnie pracują, albo”... Tak że ja poszedłem na skargę nawet do jego szefa, jak on się zachowuje. Każde to przejście przez te barykady, przez piwnicę, człowiek nie wiedział, nie wiadomo, gdzie człowiek wychodził. Było bardzo trudno, pod ostrzałem, samoloty i tak dalej. I proszę sobie wyobrazić, że dopiero po dwudziestu latach, po skończonym PRL-u, przeczytałem w gazecie sprawozdanie szefa Sprawiedliwości Polski podziemnej, pana Sieroszewskiego, syna tego pisarza, że pan „Kiliński” został rozpoznany tuż przed końcem powstania jako szpieg niemiecki. I rozstrzelany. A my, jak później spotykaliśmy się, po skończonej wojnie, powstaniu, to myśmy ciągle tego „Kilińskiego” przeklinali, bo zachowywał się ordynarnie. I podobno on był w Abwehrze niemieckiej i on doniósł Niemcom, o której godzinie powstanie wybuchnie. Tak że jeszcze mam taką do uzupełnienia tej książki, jak będzie drugie może wydanie kiedyś, to chcę dodać, bo to jest ciekawa rzecz. Zresztą tam masa innych ciekawych rzeczy. Niektóre oddziały AK w Warszawie zachowywały się rabunkowo gdzieś, na tych peryferiach, gdzie dowództwo nie panowało nad tym. Tak że nie gloryfikujemy za bardzo, bo wszędzie, w każdym społeczeństwie jest jakaś część...

Krzysztof Wyrzykowski: A w stosunku do kogo się zachowywali tak rabunkowo ci powstańcy? Czyli co, na sklepy napadali?

Kordian Tarasiewicz: Nie, nie, ale wie pan, zajmowali jakieś mieszkanie, gdzie ludzie mieszkali, i tam ginęły jakieś rzeczy od razu. Nawet w tym Brześciu, jak byłem z tym majorem Polakiewiczem i dali nam gdzieś spać w mieszkaniu, gdzie ktoś został powołany do wojska. Ładnie urządzone mieszkanie, jakieś obrazy... A ja byłem jako kierowca, więc też byli inni kierowcy, bardziej prymitywni niż ja, to już te obrazki... Ja mówię: „Panowie, co wy robicie?”. „A, proszę pana, tu nikogo nie ma”. Tu nikogo nie ma, ale wróci ktoś, prawda? Nasze społeczeństwo to...

Krzysztof Wyrzykowski: No, ale jesteśmy przy Powstaniu Warszawskim. Jak to przebiegało w chronologii pewnej pana, w pana wspomnieniach?

Kordian Tarasiewicz: Ja mam takie wspomnienia właśnie nie bardzo przyjemne, bo od początku czuło się, że to nic z tego dobrego nie wyjdzie. Przecież nie było broni. Później, jak się czyta teraz te książki o powstaniu, to początek to było zupełnie... Ataki tych naszych powstańców na te uzbrojone obiekty niemieckie to były beznadziejne. Tamci mieli masę broni, masę amunicji, tak że właściwie nie zdobyto żadnego niemieckiego takiego poważnego... ani lotniska, ani... wie pan, takich punktów. No jedyne, tę Pastę na ulicy Zielnej. To jedyne, a tak to... Także człowiek nie był w dobrym nastroju. Ja nie byłem zresztą do końca, do 6 września. Już na ulicy Smolnej nie było gdzie się ani

wycofać, ani uciekać. Były takie ulotki, że proszę się poddać, że tak powiem. Niemcy zgarnęli nas na takie podwórko w Muzeum Narodowym i wieczorem podjechał pociąg, tunelem tym średnicowym, i na Dworzec Główny, tam wyciągnęli nas i potem piechotą na Dworzec Zachodni, do Pruszkowa i z Pruszkowa dostałem się tam, gdzie dzieci były właśnie na wakacje, i dopiero tam się spotkałem z żoną, o której nic nie wiedziałem, co się dzieje w czasie powstania, bo na Kolonii Staszycza to się różne złe rzeczy działy. To był 6 września, kiedy znalazłem się po różnych innych miejscach w Warszawie w czasie powstania, na ulicy Smolnej. I tam stała się taka sytuacja, że już nie można było nigdzie dalej uciekać, i Niemcy wyzwalali ludność okoliczną do opuszczenia Warszawy. I my się postanowili ze znajomymi, z całą grupą tam przebywałem, że trudno, trzeba skorzystać z tej oferty i wyjść z Warszawy. No i udało nam się najpierw ulokować na podwórku Muzeum Narodowego. Potem podjechał pociąg linią średnicową przez Dworzec Główny, później Dworzec Zachodni, dostaliśmy się do Pruszkowa, do obozu, i tam po pierwszym dniu pobytu udało mi się, już nie będę w te szczegóły wchodził, uzyskać takie zaświadczenie lekarskie, że do szpitala skierowanie. To było oczywiście fikcyjne zaświadczenie, ale z niego skorzystałem, i jeszcze tego samego dnia dotarłem do Złotokłosu, gdzie w czasie wakacji przebywały w Złotokłosie dzieci. Tak że myśmy byli z żoną w Warszawie odseparowani w czasie powstania z dziećmi no i trzeba było do tego Złotokłosu dotrzeć, co się udało, i tam zastałem żonę, która dopiero wtedy mogła opowiedzieć o różnych przejściach, jakie miała na kolonii Staszycza. A jakie to były przejścia, czy mógłby pan powiedzieć? A co jej się takiego tam przydarzyło? Jeśli chodzi o kolonię Staszycza, to było o tyle trudne, że tam grasowały te bandy własowców albo RONA tak zwana, Rosyjska Ochotnicza Armia Narodowa, która zachowywała się bardzo brutalnie, tam zginął Mariusz Maszyński między innymi, wspaniały aktor, i cała grupa, w której moja żona się znalazła z sąsiadami, na ulicy Suchej, obecnie Krzywickiego, została właściwie w pewnym sensie uratowana przez oficera niemieckiego, który na skutek apelu hrabiego Tarnowskiego, żeby ratował nas, to znaczy tę grupę żony, przed jakimiś wyczynami zabójczymi. On jakoś odseparował tę całą grupę i przez szereg dni właściwie ta grupa znalazła się pod opieką wojskowego niemieckiego, który był dowódcą odcinka takiego artylerii przeciwlotniczej. I on nawet dał eskortę, że ta cała grupa później bezpiecznie opuściła granicę Warszawy, więc to było takie szczęśliwe wydarzenie. Natomiast w tym Złotokłosie, który się albo nazywał Szczaki, albo Złotokłos, właśnie dzieci przebywały tam na wakacjach, więc dotarłem tam, już tak jak przed chwilą powiedziałem, no i czekaliśmy, co się dalej wydarzy, bo powstanie dalej działało. Byliśmy świadkami takiego radosnego momentu, to była chyba połowa września, 15 czy 18, już teraz nie pamiętam, gdzieś mam to zapisane, gdzie zobaczyliśmy na niebie eskadrę stu bombowców amerykańskich, które nadleciały nad Warszawę i rzuciły tam na spadochronach różne rzeczy. Okazało się, że to była jednorazowa próba, bo Stalin się nie godził na pomoc amerykańską, dozwolił ten jeden raz tej eskadrze przylecieć. No niestety wtedy już powstanie miało bardzo skurczone rozmiary i bardzo było trudno trafić tymi spadochronami, tak że właściwie większość tego zaopatrzenia raczej Niemcy złapali. I później, jak był moment kapitulacji AK przed Niemcami, to Bach-Zelewski, który był głównodowodzącym operacji stłumienia Warszawy, poczęstował naszą delegację kawą. Pani hrabina Tarnowska powiedziała, że odmawia picia tej kawy. A on powiedział, proszę pani, niech pani się nie krępuje, bo to dla was kawa była właśnie zrzucona przez Amerykanów, myśmy ją przejęli, tak że niech pani nie ma tutaj zastrzeżeń, że to jest niemiecki dar. Tak że ta niestety interwencja bombowców właściwie nic już na powstanie wpłynąć nie mogła. Natomiast jak się powstanie się skończyło, w pierwszych dniach października, to zaczęliśmy próbować, żeby jakoś się do tego miasta dostać, zobaczyć, co ocalało z tego pobojuwiska. I te zabiegi o tyle były ułatwione, że namówiliśmy władze niemieckie, żeby skorzystać z tego, że pod Grodziskiem była taka prywatna fabryczka marmolady, żeby pod pretekstem wydobywania surowców do tej marmolady, które były składowane w nieruchomości na ulicy Grzybowskiej,

żeby te surowce Niemcy pozwolili z Warszawy wywozić, i w tej fabryczce w Radoniu, że tak powiem, produkować marmoladę za niemieckich jeszcze czasów.

Krzysztof Wyrzykowski: Co to była za nieruchomości na Grzybowskiej?

Kordian Tarasiewicz: To była miejscowość pod Grodziskiem, Radonie się nazywała. Właściciele byli państwo Chrzanowscy, bardzo mili ludzie, którzy z wielkim entuzjazmem podejmowali tę całą akcję, i dzięki temu myśmy dostali papiery, które nie były na Plutona, tylko na firmę Płudy, w której myśmy byli udziałowcami, pod Warszawą, ale instytucja, która była znana Niemcom, i oni dali nam zaświadczenie, żeby do Warszawy pojechać, raz, drugi, trzeci, zobaczyć, czy w tych składach jest ta pulpa, no i jeżeli jest, po trochu ją wywozić za pomocą beczek naładowanych na samochody. I to była taka cała skomplikowana organizacja, że o piątej rano trzeba było być w Piastowie, tam był ten punkt zborny niemiecki, gdzie zbierały się te ciężarówki, i byli amatorzy, że tak powiem, pracownicy, żeby pomagać w przeładunku, i stamtąd się wyruszało do Warszawy, pierwsze dni października, więc jeszcze było takie pobojo-wisko świeże. To były takie niezapomniane wycieczki, jeżeli tak można nazwać. W każdym razie udawało się tę pulpę po trochu do tych Radoni ściągać.

Krzysztof Wyrzykowski: Proszę powiedzieć, jaka była Warszawa, którą pan zobaczył, kiedy panu po powstaniu...

Kordian Tarasiewicz: To był taki przerażający widok, taka cisza, martwota, masę barykad takich nierozebranych, tak że z tymi samochodami się przejeżdżało po jakichś takich wertepach. Ludzie, którzy byli niepo-chowani, leżały te trupy dosłownie na ulicy. Więc muszę powiedzieć, że około sześciu razy byłem w Warszawie właśnie po tę pulpę i muszę powiedzieć, że to były przeżycia bardzo trudne. Po prostu człowiek był jednocześnie zmęczony, głodny, zimno. I naokoło te martwe kamienice bez mieszkańców i tak dalej, to robiło straszne wrażenie. Ale dzięki temu udało się w tych Radoniach trochę tej pulpy tak zwanej owocowej wyciągnąć z Warszawy i zacząć produkować marmoladę. Dostaliśmy przydział cukru z cukrowni w Józefowie, niedaleko Grodziska, i zaczęła ta produkcja się rozwijać. Ja postanowiłem w pewnym momencie udać się do Krakowa, dlatego że człowiek był nieubrany, nie miało się ciepłych rzeczy. Jakieś spodnie troszkę się podarły w tych wszystkich perypetiach powstaniowych. I mieliśmy przyjaciół w Krakowie, którzy bardzo chętnie udzielili mi pomocy. I to była połowa stycznia. I jak byłem w Krakowie, to już czułem, że tu, w Krakowie, Niemcy zaczynają się pakować i ewakuować. Tak że tak się czuło, że to są jakieś ostatnie ich dni pobytu w Krakowie. Niemniej jednak wsiałem do pociągu, który miał za cel dojście do Milanówka, i tam, w tym pociągu, spotkałem pana Jerzego Pakulskiego, syna Adama Pakulskiego, znanego kupca artykułów kolonialnych w Warszawie, i z tym panem Pakulskim i jeszcze jednym panem żeśmy w tym pociągu jechali do Częstochowy przez teren Reichu, bo Częstochowa należała do Reichu, no i w Częstochowie wysiedliśmy z tego pociągu, bo wyszedł zawiadowca stacji i powiedział: „Dalej pociąg już nie idzie”. No więc my się postanowiliśmy iść na rogatki w Częstochowie, jakieś tam zawsze były okazje, samochody, Niemcy za pieniądze, 100 złotych się dawało i można było przysiąc się i tak dalej. Niestety nie doszliśmy do tych rogatek, bo w pewnym momencie czołgi radzieckie wjechały do Częstochowy, zupełnie niespodziewanie, bo była w gazetach zapowiedziana, że jest ofensywa radziecka właśnie znanad Wisły, no ale nikt nie przypuszczał, że to tak szybko odbędzie się, że oni wjadą do Częstochowy, i po prostu Częstochowa była zajęta przez cztery czołgi, które nie wiedziały, jak się to miasto nazywa, bo taki wysiadł ten krasnoarmiejec i mówi:

„Co to za miasto jest?”. To tak jak szarża taka kawaleryjska w postaci czołgów. No i myśmy byli zmuszeni piechotą udać się do Warszawy, czyli pielgrzymka do Częstochowy w odwrotną stronę, te 250 kilometrów. No i udało nam się w końcu po różnych tam perypetiach, o których nie będę już w szczegółach opowiadał, dostać z powrotem do domu, do tych Szczak. Ale jak doszedłem piechotą ostatni etap, 50 kilometrów, 11 godzin się szło, to zastałem, że już mojej rodziny i dzieci nie ma w tej w Złotokłosie, bo oni właśnie przenieśli się pod Grodzisk, czyli następnego dnia musiałem znowu 25 kilometrów do tego Grodziska się udać. No więc widać było, że zbliża się koniec okupacji niemieckiej, no i w pewnym momencie również Sowieci zajęli tam do Grodziska. W międzyczasie ludność splądrowała magazyny z tym cukrem, tak że były takie kłopoty na ten temat. No i w tym momencie uznaliśmy, że już okupacja się skończyła i że otwiera się jakiś nowy odcinek naszego życia.